

**Recenzja rozprawy doktorskiej Gerarda Marka Rongego pt. *Kategoria nowości w kontekście polskiej literatury współczesnej. Historia i współczesność pojęcia***

Inspirująca rozprawa mgr. Gerarda Rongego zatytułowana *Kategoria nowości w kontekście polskiej literatury współczesnej. Historia i współczesność pojęcia* została podzielona na dwie części.

Część I nosi tytuł *Kultura po przypadłości. Różnienia w świecie bez humanizmu*, część II zaś *Czas Pana Spocka. Epoka nowości*. Na Część I składają się trzy rozdziały: *Ontologia przypadłości*; *Czas „Don Kichota”*; *Historia nowożytnego okcydentu jako epoka bibliomanii*. Zamyka ją szkic *Problem autorstwa: Pierre Menard, autor „Don Kichota”*. Zgodnie z kompozycją wielu innych dysertacji, część I służy wypracowaniu i dookreśleniu kategorii teoretycznych. Badacz będzie później korzystał z nich przy interpretacji wybranych dzieł współczesnej literatury polskiej (twórców znanych, jak Tadeusz Peiper, Czesław Miłosz, Tadeusz Różewicz, Olga Tokarczuk, ale też niszowych, jak Łukasz Zawada czy Tomasz Bąk).

Część II – *Czas Pana Spocka. Epoka nowości* – składa się z czterech rozdziałów: *Po przypadłości*; *Epoka nowości*; *Nowa sytuacja społeczno-kulturowa literatury polskiej*; *Organiczna literatura postmodernistyczna*. Ten fragment rozprawy ma głównie charakter analityczny, dokładnie mówiąc – stanowi analityczne uzupełnienie dla teoretycznych przemyśleń z części II. Materiału źródłowego dostarcza historia sztuki europejskiej oraz dzieje współczesnej i najnowszej literatury polskiej.

Rozprawa Rongego jawi się jako efekt harmonijnego połączenia dwóch obszarów – myślenia filozoficznego i literaturoznawczego. Odzwierciedla zatem podstawowy rys współczesnej humanistyki, w której na równych prawach współistnieją treści z obszaru nauk społecznych i humanistycznych.

Dbałości o klarowność języka towarzyszą nader zajmujące propozycje interpretacyjne. Badacz pisze zgodnie z duchem współczesnej refleksji humanistycznej, w której przekracza się granice poszczególnych dziedzin wiedzy.

Recenzowana dysertacja ujawnia dojrzałość naukową doktoranta. Mgr Ronge pisze tak, jak by od długiego czasu był zdomowiony w dyskursie akademickim. Stąd i czyta się tę rozprawę z zaciekawieniem i uznaniem dla jej autora. Mgr Ronge stawia odważne tezy, ale w nie są one z ducha prowokacji intelektualnej. Jego praca łączy bowiem elegancję myśli z jasnością języka i komunikatywnością przekazu. Mówiąc o zagadnieniach często delikatnych i skomplikowanych (niekiedy wysoce abstrakcyjnych) czyni to sposób taki, że traci kontaktu z czytelnikiem.

Chciałbym zrezygnować ze szczegółowej prezentacji każdego z rozdziałów, a zamiast tego skoncentrować się na wybranych kwestiach, które wymagają komentarza. Wcześniej jednak chciałbym skrótowo przedstawić podstawowe założenia rozprawy doktorskiej.

Mgr Ronge analizuje, jak postrzegana i definiowana była oraz jak ulegała kolejnym przewartościowaniom, kategoria nowości. Poddaje zatem namysłowi to, co zazwyczaj jest pomijane, bowiem nie tyle samą nowość problematyzujemy, co raczej jej wytwory. Podstawa badawcza Rongego wymaga wykorzystania wiedzy co najmniej trzech z obszarów: filozofii, teorii literatury i sztuki. Recenzent może jedynie wyrazić swoje uznanie dla odwagi intelektualnej doktoranta.

*Kategoria nowości w kontekście polskiej literatury współczesnej. Historia i współczesność pojęcia* to projekt zakreślony z panoramicznym rozmachem, w którym mgr Ronge śledzi – począwszy od epoki starożytnej po nowożytną oraz jej szczególny przypadek, jakim jest nowoczesność – to, co nowe, oryginalne. Podążając za Borisem Groysem, dokonuje odróżnienia pokrewnych, ale nie tożsamyh, kategorii „nowości” oraz „inności”: „Paradoks jest immanentnie wpisany w naturę nowości, ponieważ o nowości »nowości decyduje właśnie to, że nie pozwala się rozpoznać jako nowość. Nowym jest to, co wprowadza, jak pisze teoretyk, »różnicę bez różnicy« albo »różnicę przekraczającą różnicę«. Groys wprowadza tym samym radykalną perspektywę, w ramach której nowość w obrębie dzieła sztuki jest praktycznie niemożliwa, o ile dzieło to daje się zidentyfikować jako dzieło sztuki (w takim przypadku bowiem jest ono jedynie »różne« od innych dzieł sztuki, co nie ustanawia jeszcze żadnej nowości)” (s. 24–25). Jeśli dobrze rozumiem prowadzony na tej obserwacji wywód Rongego, nowość uchwytna jest nie wtedy, gdy nabierzemy dostatecznego dystansu czasowego, ale gdy zmieni się nasz paradygmat myślenia o rzeczywistości; zmieni na tyle wyraźnie, by dostrzec wyjątkowość danego dzieła lub całego zbioru przemian

społeczno-kulturowych. Mgr Ronge skrętnie odnotowuje zatem oznaki postępującej rewolucji na Zachodzie. Dokonuje się ona między innymi w podejściu do czasu i rozumienia historii oraz problematyki *imitatio* – kluczowej dla epoki starożytnej, wieków średnich i początków nowożytności.

W centrum rozważań mgr. Rongego znajduje się pierwsza powieść europejska, czyli *Don Kichot* Miguela Cervantesa. Wedle doktoranta, *opus magnum* Cervantesa stanowi nie tyle nowość w rozumieniu estetycznym, co przede wszystkim epistemologicznym. *Don Kichot* ukazuje bowiem nowe sposoby rozumienia świata. Mgr Ronge celnie zauważa, że nawet tak wytrawni czytelnicy, jak Vladimir Nabokov, nie umieli wyjść poza obszar klasyfikacji estetycznych, przyjął, że przeobrażająca moc *Don Kichota* tkwi nie w konstrukcji artystycznej (jej niepowtarzalności, wyjątkowości), lecz w konstatacjach myślowych odsyłających do sfery etiologii i epistemologii. Jak przekonuje Ronge, powieść hiszpańskiego pisarza stanowi – po pierwsze – punkt graniczny w dziejach gatunku literackiego, ale – co ważniejsze – daje klucz do zrozumienia paradygmatycznego zwrotu dokonującego się w myśleniu o świecie. Jej bohater wyraża fenomen rodzącej się nowoczesności, określa ducha nowoczesnej podmiotowości.

Jaką postawę winien przyjąć recenzent wobec takiej dysertacji, jak *Kategoria nowości w kontekście polskiej literatury współczesnej. Historia i współczesność pojęcia?* Wobec tak całościowego, spójnego projektu jak rozprawa Rongego, recenzent może – wyrażając wcześniej swoją aprobatę – jak w przypadku każdej innej dokonać uzupełnień lub rozwinąć poszczególne wątki myślowe. A praca Rongego jest z gatunku tych, które prowokują do poszukiwań intelektualnych.

Gdzie kryje się niebezpieczeństwo refleksji zaproponowanej przez Rongego? Tam gdzie tkwi ono we wszelkie projektach syntetycznych. Jest ceną, jaką indywidualny przypadek płaci wizji holistycznej. Doktorant podejmuje ryzyko, którego nie da się wyeliminować w narracjach o ambicjach spojrzenia całościowego, widzenia ponad jednostkowymi zdarzeniami, tekstami i autorami. To ryzyko się opłacało.

Sformułujmy teraz kilka uwag, które nie tyle są krytyką wyводу doktoranta, co propozycją alternatywnej lektury, alternatywnego spojrzenia na niektóre problemy, innym razem zaś uzupełnienie postawionych hipotez.

Mgr Ronge w swej dysertacji uznaje Szoa za fakt epokowy w dziejach Zachodu, taki, który radykalnie zmienił nasze wyobrażenia na temat historii, polityki, zadań i roli sztuki. Nie jest w tym względnie odosobniony. Wydarzenie to (pisane niekiedy wielką literą, jak w tytule książki Katarzyny Bojarskiej *Wydarzenia po Wydarzeniu*) należy określić jako punkt zero w

nowoczesnym (ponowoczesnym) myśleniu o świecie. Doktorant – najzupełniej słusznie – odnotowuje się do przełomowości jerozolimskiego procesu Adolfa Eichmanna: „Dwa lata po egzekucji Eichmanna, jego proces stanie się dla Marshalla McLuhana jednym z punktów odniesienia w jego najśłynniejszym tekście *The Medium is the Message*, uważanym za inauguracyjny dla nauk o mediach jako osobnej dyscypliny badawczej” (s. 195–196). Dodajmy, że postawienie przed sądem najważniejszego z – żyjących wówczas – inżynierów hitlerowskich zbrodni wyznacza nie tylko właściwy początek badań nad Zagładą i upowszechniania się wiedzy o niej, ale jest również momentem przełomowym w polityce Izraela wobec Ocalonych. Idith Zertal w publikacji *Naród i śmierć*, ujawnia, jak Holokaust – przejęty przez ideologię syjonistyczną – stał się podstawowym doświadczeniem integrującym, wokół którego skoncentrowała się pedagogika historyczna i tożsamościowa młodego państwa. Uległ też zmianie początkowo niechętny stosunek Izraela do emigrantów przybyłych do Palestyny (przez pierwsze lata widziano w nich bowiem powód do konfuzji a nawet wstydu, postrzegano jako tych, którzy pozwolili się „bezkarnie” mordować).

Nie bez racji Ronge przypomina „zakaz” Adorna zawarty w *Dialektyce negatywnej* mówiący o tym, że po Auschwitz nie powinno się tworzyć poezji, co – wbrew powszechnemu i błędnemu mniemaniu – nie oznacza wcale całkowitego odrzucenia sztuki po Szoa, lecz namowę do przemyślenia zasad jej funkcjonowania w rzeczywistości naznaczonej piętnem Zagłady. Wydaje mi się, że mgr Ronge niedostatecznie wyeksponował konsekwencje myślowe dla sztuki płynące z *Dialektyki oświecenia* oraz *Dialektyki negatywnej*. Chodzi mi o fundamentalny problem piękna i radykalnego oddzielenia go od sfery doznań estetycznych. Wprawdzie to nie Max Horkheimer i Theodore Adorno wykonali pierwszy krok na tej drodze (bo uczynił to wcześniej choćby Immanuel Kant a następnie realizowała w swoich działaniach awangarda europejska), jednak właśnie po Holokauście i w refleksji takich filozofów, jak przedstawiciele szkoły frankfurckiej, później zaś Jacquesa Derridy czy Jeana-François’a Lyotarda, piękno zastąpiono wzniosłością, uznając zarazem prymat nowego rodzaju piękna ufundowanego na tej właśnie kategorii. Ma to swoje konsekwencje i dziś, gdy tak trudno jest nam mówić o pięknie tradycyjnie pojętym. I nie idzie tylko o historyków sztuki. Piękno mierzone jedynie miarą doznać estetycznych staje się często anachronizmem, wstydliwym tematem w dyskursie społecznym. Język wzniosłości – jako dominujący – uprawomocniła ostatecznie debata wokół wyrażalności i niewyrażalności Szoa (świadectwem tych dylematów jest między innymi poezja Różewicza). Dalekim odbłaskiem przywołanej dyskusji, ale przecież ściśle z nią powiązanym, jest zagadnienia petryfikacji estetyki przez

etykę. Być może nawet mamy do czynienia ze swoistym terrorem wzniosłości i doświadczenia estetycznego, które musi być teraz interpretowane przez pryzmat etyki.

Mgr Ronge w świecie po Holokauście wyznacza kolejną – jakby wewnętrzną – cezurę ustanowioną przez zmiany, jakie nastąpiły w latach sześćdziesiątych XX wieku. Bez wątpienia tzw. rewolucja kulturalna zostawiła długi cień na naszym myśleniu o rzeczywistości. Trudno go pojąć bez dziedzictwa europejskiej, a zwłaszcza amerykańskiej, kontestacji. Ustalenia szkoły frankfurckiej były wykorzystywane przez teoretyków kontrkultury i wcielane w życie przez jej praktyków (tak artystów, jak młodzież amerykańską w drugiej połowie lat sześćdziesiątych). Frankfurczycy – za sprawą prac kontrowersyjnego psychologa Wilhelma Reicha czy Herberta Marcusego jako autora *Erosa i cywilizacji* oraz *Człowieka jednowymiarowego* – dostarczyli uzasadnienia dla kontrkulturowych tez o opresyjnym charakterze kapitalizmu. Dostarczał go też Adorno jako równie wielki polemista Hegla i krytyk społeczeństwa konsumpcji. Był on też równie nieprzejednanym krytykiem jazzu i muzyki rockowej – a więc jednych z najbardziej spektakularnych przejawów rewolucji lat sześćdziesiątych. Po wydarzeniach z 1968 roku w Europie (a nawet nieco wcześniej) filozof nabiera coraz większego dystansu do buntu młodych ludzi nazywając ich rewolucję i projekty emancypacyjne infantylnymi. Wiele bowiem swoich obszarów – od polityki i sztuki począwszy – oddaje w objęcia skrajnych emocji. Jeśli zatem szkołę frankfurcką umieszczać w kontekście rewolucji kulturalnej to nie całości i raczej Herberta Marcusego czy Ericha Fromma, ale raczej nie Adorna (w każdym razie nie bez poczynienia stosownych zastrzeżeń).

Na styku *Dialektyki oświecenia* i kontrkultury pojawia się problem, który chciałbym wydobyć. Od antypsychiatrii, przez karierę nurtów mistycznych w sztuce i religii, koncepcje edukacyjnej i poznawczej, obyczajowość młodzieży i środowiska hippisowskiego oraz tygiel ruchów i zjawisk składających się na New Age obserwujemy tryumf sfery emocji, dla których negatywnym odbiciem staje się rozum. Niebezpieczeństwa tej żywiołowej erupcji – zbudowanej na manifestacji afektów i niczym nieskrępowanej idei samorealizacji – dostrzegali Jan Józef Szczepański w jednym z esejów traktującym o zbrodni bandy Charlesa Mansona (z tomu *Przed Nieznanym Trybunałem*). Nie można również pominąć faktu, że współczesna kultura zdaje się w coraz większym stopniu być zakładnikiem sił przeciwnych rozumowi, niekiedy wręcz wrogo doń nastawionych. Nie należy też zapominać, że krytykowane przez szkołę frankfurcką dziedzictwo oświecenia stoi u początków filozofii amerykańskiego pragmatyzmu i liberalizmu, u początków amerykańskiej państwowości i amerykańskiego sukcesu gospodarczego.

Rozwijając wątek zmian cywilizacyjnych, których membraną były „szalone lata sześćdziesiąte”, Ronge pisze: „Jeśli radykalne sądy na temat »niskiej« kultury straciły dzisiaj użyteczność (bo kultura masowa udowodniła swoją niekwestionowaną już dzisiaj wartość) to stało się tak dlatego, że była ona fenomenem prawdziwie nowym, który nie mógł zostać prawidłowo rozpoznany i opisany w ramach dotychczasowego systemu punktów odniesienia” (s. 190–191). Niewątpliwie z czasem badacze docenili wartość kultury popularnej i masowej, czy to akceptując za Antoniną Kłoskowską jej użyteczność jako narzędzia upowszechniania kultury wysokiej, czy – za Johnem Fishke – jako sondy pozwalającej wnikać w kolejne fazy rozwojowe zachodniego kapitalizmu, diagnozować fluktuacje idei, zasady transformacji starych treści i wyłaniania się nowych wyobrażeń kompatybilnych ze światem ponowoczesnym (czy, jak chcą inni, później nowoczesności). Trzeba jednak mieć na względzie, że kultura popularna to nie jednolita całość, lecz konglomerat zjawisk heterogenicznych, zbiór, w którym to co, jawnie epigońskie, kiczowate i banalne sąsiaduje z tym, co ambitne i artystycznie ciekawe (najprostszego przykładu dostarcza muzyka rozrywkowa i dorobek takich zespołów, jak Pink Floyd, Joy Division, wokalistów jak Bob Dylan, Pete Seeger, Nick Cave czy cały nurt rocka progresywnego albo alternatywnego). Oczywiście, kultura popularna sama w sobie nie jest nowością. Istniała niemal do zawsze. Nowy jest układ sił, w którym jej wytwory zdają się od pewnego czasu dominować nad przejawami kultury wysokiej.

Mgr Ronge referując ustalenia badaczy Szoa stawia zagadnienie wyjątkowości Zagłady. Słusznie wskazuje na aporie, które rodzi ta kategoria. A rodzi je w aspekcie, który szczególnie zajmuje Rongego – pytania o nowość. Być może pomocą służyłaby doktorantowi lektura *Eksperymentów w myśleniu o Holocauście* Allana Milchmanna i Allana Rosenberga. Jej autorzy wprowadzają pojęcie wydarzenia przekształcającego. Umożliwia ono wyminięcie aporii, na jakie skazani są zwolennicy koncepcji wyjątkowości Szoa. Notabene, na polskim gruncie za przyczyną *Literatury polskiej wobec ludobójstwa*, a wcześniej *Literatury w lagrze, lagra w literaturze* Arkadiusza Morawca coraz częściej Holokaust ukazuje się nam jako przypadek z kręgu dziejów dwudziestowiecznego ludobójstwa (od eksterminacji ludu Herero i Namaqua w Afryce, przez rzeź Ormian w Wielkiej Wojnie, o kilkadziesiąt lat późniejszą Romów po zbrodnię w Rwandzie). Oczywiście, Zagłada zawsze była interpretowana w tym kontekście, jednak Morawiec odbiera jej metafizyczne konotacje wyjątkowość sprowadzając bardziej do zagadnienia skali zbrodni (liczby pomordowanych) niż do jej niepowtarzalności w dziejach świata, zdarzenia, które nie miało wcześniej precedensu.

Mgr Ronge w swej rozprawie powołuje się na publikacje Buckminstera Fullera i formułowane tam postulaty „natychmiastowego zjednoczenia się ludzkości i zaangażowania całego ludzkiego potencjału w pracę na rzecz przywrócenia Statkowi Kosmicznemu Ziemia pełnej sprawności” (s. 215). Według Fullera, celem ma być „jakkolwiek patetycznie by to nie brzmiało – zjednoczenie całej ludzkości. Powodzenie tego przedsięwzięcia jest warunkiem przetrwania – w latach sześćdziesiątych mówił o tym wybitny filozof, wynalazca i wojskowy specjalista, dzisiaj zgodnie powtarzają to wszyscy klimatolodzy i meteorolodzy. Sytuacja jest zbyt poważna, by dalej marnować czas na wewnętrzne konflikty oparte na błędnych założeniach i archaicznych przesądach. Jediną kwestią, która ostatecznie ma jakiegokolwiek znaczenie, jest ustabilizowanie Statku Kosmicznego Ziemia” (s. 264). Niezależnie do tego, czy autor dysertacji podziela tę wiarę, czy raczej, mimo iż patrzy przychylnym okiem, nie wróży sukcesu podobnym projektom cywilizacyjnym, chciałbym wystąpić w roli kogoś, kto nie ufa idealistycznej wizji przemiany człowieka, posthumanistycznym oraz lewicowo-liberalnym zapewnieniom o szansie na wyrwanie się spod panowania np. ograniczeń biologicznych czy władzy stereotypów. Nie są to uwagi do rozprawy mgr. Rongego, tylko wyrażenie wątpliwości wobec koncepcji głoszonych ostatnimi laty choćby przez takich autorów, jak Yuval Noah Harari z Uniwersytetu w Jerozolimie. Niemal automatycznie nasuwa się – w kontrze – postać Ulricha Becka – kodyfikatora terminu „społeczeństwo ryzyka” – mówiącego o ryzyku jako nierugowalnej przypadłości, z którą przychodzi żyć człowiekowi nowoczesnemu, o zagrożeniach globalizacji i nieredukowalnym przecuciu katastrofy.

Na pomysły Yuvala Noaha Harariego można również odpowiedzieć językiem koncepcji „cienia” Carla Gustawa Junga albo pesymizmem Zygmunta Freuda, dla którego żywioł destrukcji i przemocy jest nieusuwalnym komponentem ludzkiej natury. Pesymizm Freuda należy wzmocnić pesymizmem mającym inne źródło. Statek Kosmiczny Ziemia nigdy nie uzyska pełnej sprawności, jeśli będziemy pod nim rozumieć utopijną wizję stworzenia świata bez wojen, tolerancyjnego, bez poważnych kryzysów społecznych. I nawet nie chodzi o holistyczną perspektywę planety Ziemia, lecz o tę jej część, którą kwalifikujemy jako kulturę zachodnią. Splot nazbyt wielu czynników rzutuje na kondycję i rozwój Zachodu. Co oznacza, że projekt liberalno-lewicowy jest przez cały czas narażony na zawirowania ekonomiczne, polityczne i klimatyczne. Przecuciom tym daje wyraz dość bogata przecież literatura i sztuka postapokaliptyczna, dokładnie mówiąc ta, której zasadnicza nić rozwoju prowadzi od drugiej połowy dwudziestego stulecia. Jej początek nie jest jednak w Szoa, a w takich wydarzeniach, jak wynalazek i eksplozja pierwszej bomby atomowej. Nie tylko proza, kino, gry komputerowe czy sfera popkultury zdają się udowadniać, że zrzucenie przez Enola

Gay na Hiroszimę ładunku nazwanego niewinnie Little Boy stanowi punkt zero w myśleniu o kulturze, że po nim żyjemy w cieniu czegoś radykalnie odmiennego. Notabene istnieje tradycja zestawienia Holokaustu i Hiroszimy (takie analogie znajdziemy choćby w tomie *Holocaust i Hiroszima* pod redakcją Ariko Kato i Jacka Leociaka).

W finalnym fragmencie dysertacji zatytułowanym *Zakończenie. W stronę literatury synergetycznej* Ronge stwierdza: „Ostatnie dekady bezprecedensowo dynamicznych procesów teoretycznych i artystycznych będących skutkiem przemian geopolitycznych są najwcześniejszym etapem wyłaniania się kultury naprawdę egalitarnej – to znaczy takiej, w której każda osoba ma szansę pełnej realizacji własnego potencjału, z wykorzystaniem będącego efektem postępu technologicznego bogactwa ludzkości – doskonałych instytucji edukacyjnych, nowoczesnej infrastruktury badawczej, dostępu do nieograniczonego przestrzennie transferu wiedzy i potężnych, zgromadzonych dzisiaj chociażby w Internecie, nieprzebranych zbiorów tekstów kultury” (s. 263). Ten opis jest prawdziwy, a moje uwagi mają jedynie charakter dopowiedzenia. Lévy – admirator teorii umysłu kolektywistycznego zrodzonego na gruncie wiedzy zawartej w Sieci – powiada, że jakkolwiek na naszych oczach następują zmiany w modelach kształcenia, to pozyskane z cyberprzestrzeni informacje nigdy nie zastąpią indywidualnego, krytycznego rozumu i jednostkowego wysiłku w akcie poznania. Gdyby zaś odwołać się do Pula Virilio, zarysuje nam się horyzont obaw i niepewności, jakie rodzi – nazwana przez niego – „bomba informacyjna”.

Poniższy passus dysertacji Rongego jest dla mnie niejasny: „Wszystkie rzeczywiste osiągnięcia cywilizacyjne dokonane w ramach nowoczesnego paradygmatu obarczone są tym błędem w „podstawowych” założeniach. Ludzkie tragedie będące efektem kolejnych podbojów witrwiańskich Don Kichotów okazały się kosztem, którego wcale nie trzeba było ponosić – nigdy nie dowiemy się również, ilu ludzi obdarzonych ponadprzeciętnym potencjałem intelektualnym byłoby zdolnych dokonać dużo wcześniej kluczowych odkryć naukowych, gdyby zostali przeprowadzeni przez doskonale działające nowoczesne mechanizmy edukacyjne, a nie zgładzeni wraz z całą swoją kulturą, naznaczoną, stanowiącą wyrok śmierci, etykietą kultury tubylczej czy prymitywnej” (s. 207). O kim mowa? O przedstawicielach ludów podbitych przez europejskich kolonizatorów (i skolonizowanych cywilizacji), które miałyby wyprzedzić w odkryciach naukowych i technicznych Zachód? A jeśli moje domysły są słuszne, to jakby miało wyglądać w praktyce (inaczej niż to się dokonało) „przeprowadzenie przez doskonale działające nowoczesne mechanizmy edukacyjne”.



Przejdźmy teraz do kwestii bardziej szczegółowych. Nie chciałbym, aby moja recenzja zamieniła się w katalog autorów i tekstów, których brakuje u Rongego, tym bardziej że wobec takich rozpraw – pisanych z wysokiego poziomu uogólnienia, swoistych syntez intelektualnych – skonstruowanie podobnego wykazu nie jest nazbyt trudne. Powstaje jednak osobne pytanie, czy – i na ile – może to się okazać ożywcze dla samej rozprawy? Pamięając o powyższej przestrodze i napominając sam siebie, chciałbym wszakże dopytać o przyczyny nieobecności kilku publikacji naukowych.

Zastanawia pominięcie przez doktoranta *Końca historii* Francisa Fukuyamy. Wydaje się, że omówione przez Fukuyamę zjawisko „końca historii” – odniesione od sfery idei politycznych i ekonomicznych – stanowi jeden z kontekstów dla koncepcji „wyczerpania”, którą doktorant omawia w odniesieniu do literatury (za Johnem Barthem i jego słynnym esejem na ten temat). Niewykluczone, że moje intuicje są błędne i książka, która ongiś wywoła spory rezonans w środowisku, nie rezonuje z dysertacją Rongego i ten świadomie pominął rozpoznania Fukuyamy. Warto przy okazji dodać, że amerykański ekonomista i politolog wycofał się z koncepcji zaprezentowanych w *Końcu historii* i w *Końcu człowieka* dostarcza argumentów sceptykom podkreślając zagrożenia, które sama ludzkość – na bazie idei postępu – generuje.

Problematyka „śmierci autora”, o której wiele słyszymy w rozdziale IV zatytułowanym *Organiczna literatura postmodernizmu*, zyskałaby dodatkowe konteksty, gdyby wzbogacić ją o rozważania dotyczące dziejów (narodzin) kategorii autorstwa i jego współczesnym statusie. Pomocą służy książka Aldony Kobus *Autorstwo. Urynkowanie literatury i fantazmat podmiotu autorskiego*.

Prezentując koincydencje między oświeceniem (modernizmem) a Holokaustem mgr Ronge abstrahuje od ważnej książki Zygmunta Baumana *Nowoczesność i Zagłada*. Dlaczego?

Na stronie 148. czytamy: „Przyjęcie tak szerokich kryteriów klasyfikacyjnych pozwala dostrzec wspólne dążenie utworów z pozoru bardzo od siebie różnych (tematycznie, formalnie, ale również bardzo różnych pod kątem estetycznej jakości i wartości artystycznej). *Popiół i diament* Jerzego Andrzejewskiego, *Matkę Królów* Kazimierza Brandysa, *Sławę i chwałę* Jarosława Iwaszkiewicza czy *Dalekie drogi* Flory Bieńkowskiej łączy dążenie do przedstawienia i zrozumienia przemian oraz kryzysów ideowych reprezentantów różnych warstw społecznych ówczesnego polskiego społeczeństwa”. *Dalekie drogi* – jak cała twórczość Bieńkowskiej – to książka myślowo i artystycznie nieprzekonująca, czego ma również świadomość Ronge. Zabrakło mi w tym wybiórczym wyliczeniu (choć wiem, że jest ono rozmyślnie wybiórcze) utworów z kręgu tzw. rozrachunków inteligenckich (*Sedan* Pawła

Hertza, *Jeziro Bodeńskie* Stanisława Dygata) czy *Skrzydło Dedala* Juliusza Żuławskiego. Jak zapewne wie mgr Ronge, takich tytułów można wymienić więcej. Rzecz jednak nie w tym, by konstruować pełny wykaz, lecz reprezentatywny. A przywołane tytuły mają taki status.

Nie tylko z recenzenckiej ciekawości chciałbym zapytać, dlaczego doktorant zbywa milczeniem – znaną mu zapewne – refleksję o później nowoczesności wywodzącą się z pism Jeana Baudrillarda. Wydaje mi się to tym bardziej zastanawiające, że francuski filozof – jak sądzę – byłoby znakomitym uzupełnieniem dla rozważań Rongego o fikcji i oraz postępujący proces mediawizacji i globalizacji. Wszak wiele na jej temat znajdziemy w teorii symulakrum Baudrillarda. Przydatne też mogłyby się okazać inne publikacji autora *Symulaków i symulacji* (jak choćby *Spółczesność konsumpcyjna, jego mity i struktury, O uwodzeniu czy Ameryka*).

Ronge wspomina na stronie 117., że na całym świecie wciąż spada liczba osób regularnie czytających. Należałoby ten sąd doprecyzować. Żyjemy nie tylko w epoce niemal powszechnej alfabetyzacji i scholaryzacji, ale też – co wynika z tych dwóch przesłanek – w której czyta i obcuje ze słowem pisanym w stopniu wcześniej niespotykanym. Pytanie dotyczy tylko tego, co czytamy i w jakim medium. Odpowiedź zaś kryje się w – słusznie akcentowanej przez mgr. Rongego – ekspansji kultury popularnej i masowej.

W przypadku przywoływanych przez Rongego *Piosenki o końcu świata* Czesława Miłosza oraz *Ocalonego* Tadeusza Różewicza (nie negując rozpoznania doktoranta) chciałbym jedynie przypomnieć, że przez cały PRL, ale też i lata dziewięćdziesiąte, obowiązywał inny model lektury. W jego ramach teksty Miłosza i Różewicza pojmowano jako zapis doświadczenia wojennego. Dopiero od trzech dekad stanowią one część literatury Holokaustu. Na marginesie jedynie dodajmy, że podobnie stało się z opowiadaniem Tadeusza Borowskiego, które na Zachodzie – od lat siedemdziesiątych – lokowano w centrum literatury Holokaustu.

Jeśli miałbym sformułować jakąś ogólniejszą uwagę po lekturze całej rozprawy Rongego, to wskazałbym na nieznaczną dysproporcję między obszernymi fragmentami o charakterze teoretycznym a analitycznym. A może powiedzmy inaczej – czytelnik rozprawy rad by znaleźć więcej prozatorskich (a i poetyckich) eksplikacji dla rozbudowanych rozważań teoretycznych. To chyba jednak uwaga bardziej „życzeniowa” niż merytoryczna.

Podsumowując, dysertację mgr. Gerarda Rongego pt. *Kategoria nowości w kontekście polskiej literatury współczesnej. Historia i współczesność pojęcia* oceniam wysoko. Zasluguje ona na wyróżnienie. Jest bardzo dobrze sprobematyzowana, zajmująco prowadzi czytelnika

przez labirynty zachodniej myśli oraz jej zmagania się z pojęciami nowości i oryginalności. *Kategoria nowości w kontekście polskiej literatury współczesnej* spełnia z naddatkiem wymagania stawiane osobom ubiegającym się o stopień doktora w obszarze nauk humanistycznych. Wnoszę zatem o dopuszczenie jej autora do dalszej części przewodu doktorskiego.

Byłe